



Kiedy pierwszy raz usłyszałem o Dariuszu Karłowiczu na początku studiów, pod koniec lat 90., był on już owiany legendą. Filozof, biznesmen, spec od marketingu, filantrop, założyciel fundacji, która jako jedna z pierwszych w Polsce zwróciła uwagę na biedę dzieci w domach dziecka, a równocześnie przenikliwy publicysta, potrafiący w bieżących sporach politycznych i światopoglądowych odnajdywać wielkie idee, przemiany myślowe czy absurdy transformacji.

Dlatego sięgając po jego ostatnią książkę, czułem pewien niepokój. Jak wyjdzie konfrontacja tego wyidealizowanego obrazu Karłowicza, który miałem w głowie, z jego najnowszymi tekstami. „Polska jako Jason Bourne” pokazuje, że współzałożyciel „Teologii Politycznej” jest po konserwatywnej stronie polskiej debaty publicznej jednym z najbardziej przenikliwych autorów. W swym zbiorze tekstów pokazuje, jak poszukiwanie polskiej tożsamości wygląda nie tylko w sporach politycznych, ale również w warstwie metapolitycznej, kulturze, a nawet w nawykach i absurdach dnia codziennego.

Karłowicz nie waha się sięgać po bohaterów tak dobrze znanych jak Sienkiewicz, w którego powieściach dopatruje się ciekawej wizji politycznej, rekonstrukcji ładu republikańskiego z okresu I Rzeczypospolitej. Walczy też o takie postaci jak św. Faustyna czy Jan Paweł II, które mogą się stać najlepszymi polskimi markami. Ale równocześnie nie daje się zwieść prawicowym idiosynkrazjom. Łaja lewicowe i liberalne mity, ale potrafi też wytykać absurdy, które pojawiają się po prawej stronie - jak choćby niechęć do jazdy na rowerze, biegania czy zdrowego trybu życia. Choć naśmiewa się z „latte-lewicy”, nie widzi powodu, dla którego miałby się wyrzec dobrej kawy czy przyjemności płynącej z jazdy na rowerze.

Najciekawszym konceptem Karłowicza jest poszukiwanie tropów polskiego republikanizmu. Zdaniem publicysty dychotomia polityczna – albo z Rosją, albo z Niemcami, Wschód albo Zachód – jest fałszywa. Twierdzi on, że odniesieniem dla Polski było zawsze Południe - Rzym, tradycja republikańska. I na tym, jego zdaniem, polegało niezrozumienie polskiej specyfiki po 1989 r. Zamiast kopiować rozwiązania z Zachodu – przekonuje Karłowicz – trzeba było poszukać swej republikańskiej tożsamości. To właśnie jej śladów szuka w tradycji Armii Krajowej, Solidarności czy w myśli Jana Pawła II.

Pomysł ten, choć niezwykle inspirujący, budzi też największe opory. Nasuwa się pytanie, czy była możliwa modernizacja inna niż imitacyjna. Przecież polskie społeczeństwo po 1989 r. chciało jak najszybciej dogonić Zachód, a nie szukać własnej, indywidualnej drogi. Pytanie, czy w sytuacji, gdy Polacy nosili takie same dżinsy jak ich rówieśnicy na Zachodzie, gdy jedli te sam Big Maki, pili tę samą colę, gdy używali tych samych smartfonów, Facebooków, Twitterów, gdy marzyli o tych samych samochodach, słuchali tych samych przebojów i oglądali te same produkcje filmowe, można im było zaszczepić tęsknotę za innym modelem politycznym niż ten, który panował na Zachodzie.

Karłowicz ma rację: nie da się być podmiotowym narodem, jeśli swoją tożsamość skopiujemy z Zachodu. Tylko czy republikanizm I RP jest rzeczywiście tym wzorem, do którego trzeba było sięgnąć? Na ile tradycja ta jest jeszcze żywa? Myśliciel uprawiający archeologię pamięci ma ten komfort, że w starożytnych artefaktach widzi dowody żywotności swych ukochanych wzorów. Sęk w tym, że ten optymizm nie jest

zaraźliwy i po lekturze książki Karłowicza wcale nie mam pewności, czy rzeczywiście można w przeszłości odnaleźć republikańską koncepcję wspólnoty, tak jak on ją sobie wyobraża. Ale na pewno warto jej szukać.

*Michał Szułdryński*

Tekst ukazał się w tygodniku „Plus-Minus” z dnia 8-9 lipca 2017